

Zło nigdy nie odchodzi na zawsze. Czasem
wystarczy jeden błąd, żeby na nowo je przywołać.

SONIA ROSA



TUTAJ
MIESZKA
ZŁO

FILIA

SONIA ROSA

TUTAJ
MIESZKA
ZŁO

FILIA

*Duchy zawsze w końcu doganiały swą ofiarę
i nie da się zamknąć przed nimi drzwi,
bo potrafią przez nie przejść.*

Joe Hill,
Pudełko w kształcie serca

Nigdy nie byłam przesądna. Być może właśnie dlatego nie posłuchałam intuicji, która podszeptowała mi, żeby nie kupować tego domu. Zignorowałam cichy wewnętrzny głos, pozwoliłam mu wybrzmieć i zepchnęłam go w otchłań zapomnienia.

Bo ten dom był wszystkim, o czym wtedy marzyłam. Dom, na który było nas stać wyłącznie dzięki jego mrocznej przeszłości. Gdyby nie to, co się tu wydarzyło, plasowałby się daleko poza zasięgiem naszych finansowych możliwości. Jednak tragedia, jaka się tu rozegrała, skutecznie powstrzymywała potencjalnych kupców, odbierała im zapał do negocjacji. Ale my się uparliśmy. Zakochałam się w białych kolumnach strzegących wejścia na werandę, w sięgających podłogi oknach z widokiem na brzoźowy las i w tych sześciu pokojach, które wydawały mi się pałacem. Wychowaliśmy się na blokowisku – zarówno mąż, jak i ja, znaliśmy tylko wszechobecny beton i uporczywe hałasy dochodzące z mieszkań sąsiadów, a marzenie o własnym domu rośło w nas z każdym rokiem, pęczniało.

I oto nadarzyła się okazja. Tak, zginęła tu dwójka dzieci – zostały zabite przez ogarniętą psychozą poporodową matkę, zakończyły swoje krótkie życie właśnie pod tym dachem. Ale od tamtych tragicznych wydarzeń minęło ponad dziesięć lat, a otynkowana na biało willa w dworcowym stylu powoli niszczała, bezpańska i zapomniana. Gdy oglądałam ją po raz pierwszy, dosłownie czułam, jak budynek do mnie przemawia. Wyobrażałam sobie zmiany, jakich dokonamy po wprowadzeniu się, ogień radośnie płonący w kominku i widok na drzewa, o jakim zawsze marzyłam. To była przepiękna, spokojna okolica w pobliżu jeziora, marzenie każdego młodego małżeństwa. To było coś, o czym śniłam przez lata.

Właściciel – mąż tej nieszczęsnej kobiety, która zabiła ich dzieci, a sama skończyła w szpitalu psychiatrycznym – niewiele mówił podczas naszego pierwszego spotkania. Niczego jednak przed nami nie ukrywał. Otwarcie przyznał, co się tu stało, i dodał, że decyzja należy do nas. Chciał się pozbyć domu, bo nie potrafiłby tu mieszkać, zresztą jakiś czas temu samotnie wyjechał do Norwegii, gdzie od nowa układał sobie życie. Długo z tym zwlekał, ale w końcu zaczął działać z obawy przed dalszym niszczeniem porzuconego na pastwę losu budynku. My marzyliśmy o własnym dachu nad głową, wyglądało więc na to, że wszyscy powinni być zadowoleni.

– Jesteś pewna? – zapytał mój mąż w drodze do notariusza.

Zapewniłam go, że tak, z emocji płonęły mi policzki. Nie myślałam wtedy o tamtych nieszczęsnych dzieciach, w głowie miałam wyłącznie wspomnienia z pierwszej wycieczki po domu. Pragnęłam go tak mocno, jakby rzucił na mnie jakiś urok.

Z czasem moja euforia zaczęła się jednak zmieniać w dławiący niepokój. Coraz częściej dopadały mnie wyrzuty sumienia, czułam się jak hiena. Wykorzystałam okazję i zbudowałam szczęśliwe gniazdko na krzywdzie innych ludzi, mówiłam sobie. Bartosz nie chciał o tym rozmawiać. „Taką podjęliśmy decyzję, spróbuj więcej o tym nie myśleć” – radził mi. Sam zajął się dopieszczaniem wnętrza, doprowadzał dom do stanu, o jakim marzyliśmy, ale ja... We mnie kłębiło się tyle sprzecznych emocji. Z jednej strony kochałam ten nasz niewielki pałacyk miłością niemal ślepą, z drugiej ciągle miałam wrażenie, że stanie się tu coś złego, jakby jakieś лихо tylko czyhało, by w nas uderzyć.

Do tego doszła bezsenność, która dopadła mnie późną jesienią. Nocami wydawało mi się, że słyszę płacz zamordowanych dzieci. Pierwsze zazwyczaj odzywało się niemowlę – jego ciche kwilenie wybrzmiewało tak wyraźnie, jakby dochodziło zza ściany. Jego siostrę, kilkuletnią dziewczynkę, słyszałam chwilę

później. Ona nie płakała, wręcz przeciwnie – śmiała się. Perlisty dziecięcy śmiech rozbrzmiewał gdzieś od strony schodów na piętro, czasem słyszałam go na dole, a bywało, że w łazience.

Bartosz mówił, że mi odbija. „Duchy nie istnieją!” – ucinął dyskusję.

Leżałam więc w ciemnej sypialni i nasłuchiwałam. Niemowlę płakało zazwyczaj nad ranem, starszą dziewczynkę było słychać o każdej porze dnia i nocy. Racjonalna część mojego umysłu wiedziała, że to tylko wybudzała wyobraźnia. Nikt już w tym domu nie płakał. A jednak nie potrafiłam przestać ich słyszeć, dziecięce głosy zostały pod dachem, który kiedyś należał do nich.

Czasem budziłam męża w środku nocy, szarpiąc go za ramię. „Słyszysz?” – szeptałam. Bartosz mamrotał coś w złości, brutalnie wyrwany ze snu, i odwracał się do mnie plecami. Zazdrościłam mu tego, z jaką łatwością się przystosował. Dla niego to był po prostu dom, który udało się nam zdobyć po okazyjnej cenie. Oswoił sytuację, nie podchodził do tego wszystkiego tak emocjonalnie, przyzwyczaił się.

Dla mnie ten dworek był miejscem, które – choć nasze – na zawsze pozostanie również ich.

Któregoś dnia znalazłam zaznaczony ołówkiem na framudze drzwi wzrost dziewczynki, która kiedyś tu mieszkała – kreskę było kilka, ostatnia mniej

więcej na wysokości mojego biodra. Osunęłam się po ścianie, a kiedy opadłam na podłogę, gwałtownie się rozszlochałam. Jak to możliwe, że Bartosz nie pomalował tej framugi? Przegapił ją? A może zostawił z sentymentu i szacunku dla poprzednich właścicieli i ich zmarłej córeczki? Upiorność tego znaleziska na dłuższą chwilę niemal odebrała mi oddech. Płakałam przez kilka minut, później włożyłam gumowe rękawice i gąbką nasączoną wodą z mydłem tartam ślady po otówku. Ale choć udało mi się doczyścić framugę, czułam, że w mojej głowie te kreski namalowane najprawdopodobniej ręką poprzedniej właścicielki zostały na zawsze. Gdyby nie zabiła jej własna matka, to ta mała siedziałaby teraz w tym pokoju, nie ja – pomyślałam i zrobiło mi się zimno.

Dom, który miał być moim rajem na ziemi, mimo swojego piękna coraz częściej przypominał piekło...

Czułam się uwięziona pomiędzy tymi ścianami, które – choć starannie przez nas przemalowane – nadal były niemymi świadkami niewyobrażalnej tragedii.

1

MARTA

Październik jest ciepły i złoty. Stawiam na ganku donice z kwiatami, które wyniosłam na słońce, i przez dłuższą chwilę wdycham rześkie powietrze. Pomiędzy drzewami migocze tafla pobliskiego jeziora, a drogą przed domem idzie syn sąsiadów wyprowadzający na spacer swojego psiaka – słowem sielanka.

W zeszły weekend minął okrągły rok od dnia, w którym się tu wprowadziliśmy, a mnie udało się w końcu odzyskać spokój ducha i radość z posiadania pięknego domu, gdzie wreszcie czuję się jak u siebie. Nie wiem, czy pomogła psychoterapia, czy po prostu upływ czasu zatarł ponure wizje, ale nocami nie słyszę już kwilenia martwego niemowlęcia, zamilkł też perlisty śmiech dziewczynki – wygląda na to, że duchy na dobre się stąd wyprowadziły.

Bartosz wykończył wnętrze naszego nowego domu z taką pieczołowitością, że czasem chce mi się płakać ze szczęścia. Mieszkamy w najpiękniejszym miejscu pod słońcem, mówię sobie co rano,

zaglądając do wszystkich pokoi, ciesząc oko nowymi tapetami, starannie dobranymi bibelotami i meblami, które zamawialiśmy przez ostatnie miesiące.

Stoję w słońcu i cieszę się błogą chwilą słodkiego lenistwa. Lada moment będę musiała zasiąść do tłumaczenia, bo ostatnio gonią mnie terminy, ale jeszcze przez kilka minut chcę się nacieszyć piękną jesienną pogodą.

Rozpinam gruby szary sweter i siadam na kamiennych schodkach wiodących na werandę. Za plecami mam jedną z kolumn, w głowie ciszę.

Bartosz pojechał do pobliskiego miasteczka zrobić większe zakupy. Uśmiecham się, gdy zdaję sobie sprawę, że tęsknię za mężem. W lutym skończył trzydzieści pięć lat. Mnie ta wątpliwa przyjemność czeka późną wiosną. Starzejemy się, myślę, przypominając sobie kolejny siwy włos wypatrzony na skroni, i lekko się krzywię. Bez przesady, trzydzieści pięć lat to jeszcze nie koniec świata, pocieszam się w myślach. Kładę splecione dłonie na brzuchu i przez chwilę wyobrażam sobie, że noszę w sobie nowe życie, ale szybko otrząsam się z bezsensownych rozważań. Po dziewięciu latach prób zajścia w ciążę chyba się poddałam. Oboje z mężem wciąż pragniemy dziecka, ale moja macica uparcie pozostaje jałowa. Na myśl o tym tracę dobry humor.

Lekarze nie widzą żadnych przeciwwskazań dla mojej ciąży, jednak ja ciągle nie potrafię w nią zajść.

„Jestem jakaś felerna” – mówię czasem Bartoszowi, a on długo mnie tuli.

„Kocham cię” – powtarza, a ja spoglądam w jego piwne oczy i widzę tyle czułości, że zaczynam płakać.

Bylibyśmy dobrymi rodzicami, myślę. To takie niesprawiedliwe, że kobieta, która miała dwoje dzieci, odebrała im życie, a ja pewnie nigdy nie urodzę, chociaż niczego innego nie pragnę. Wiem, była chora. To nie jej wina, po prostu oszalała. Jednak czasem czuję żal i bezsilność na myśl, że odebrała życie własnym dzieciom, które los tak po prostu jej podarował. Tymczasem ja nigdy nie utulę w ramionach drobnego niemowlęcego ciała. Ale nie powinnam o nich myśleć, już nie... Zbyt wiele bólu i nieprzespanych nocy kosztowało mnie to, co się tutaj wydarzyło, zbyt wiele łez wylałam. To nie moja wina, że dzieją się takie rzeczy. Nie ja stworzyłam świat takim, jaki jest, mówię sobie i biorę się do zamiatania ułożonej z kamiennych płytek ścieżki, żeby tylko zająć czymś ręce.

* * *

Bartosz zajeżdża przed dom chwilę później.

Uśmiecham się na widok wysiadającego z samochodu męża i mrużąc oczy w słońcu, ruszam w stronę furtki.

– Kupiłeś wszystko? – pytam.

– Prawie – mówi, po czym otwiera bagażnik.

Jego dziesięcioletnia furgonetka jest ubłocona, notuję w głowie, że trzeba podjechać do myjni, tymczasem Bartosz wyjmuje z bagażnika reklamówki z zakupami.

Słyszę cichy brzęk butelek wina, które uderzają o siebie w siatce, i uśmiecham się na myśl o czekającym nas weekendzie.

Tak dobrze się tu mieszka, myślę, przywołując wspomnienie zachodu słońca nad jeziorem. Mamy ulubione miejsce na samym brzegu, gdzie czasem urządzamy pikniki. Zimą będzie mi tego brakować, ale przecież i zima ma swój urok. Nie znamy jeszcze wszystkich sąsiadów, ale z czasem, kto wie – może wspólnie urządzimy kulig, ognisko albo bitwę na śnieżki.

Bartosz pochyla się, całuje mnie w kark i pyta, co na obiad.

– Nie wiem, pewnie kurczak. – Lekko wzruszam ramionami i biorę od niego jedną z reklamówek.

– Izabela dzwoniła – mówi, zanim zamyka furgonetkę.

Krzywię się.

Nie przepadam za jego młodszą siostrą. Nie pozwalam sobie jednak na żadne złośliwe uwagi, wiem, jak bardzo on ją kocha. Ich rodzice odeszli jakiś czas temu, więc obecnie mają tylko siebie.

– Co u niej? – pytam, bardziej z grzeczności niż z ciekawienia.

– A wiesz, jak to ona. Władowała się w jakiś nowy projekt biznesowy, kłóci się z facetem, narzeka na ujadającego psa sąsiadów.

Zbuntowana nastolatka w ciele trzydziestotrzylatki – myślę, ruszając za mężem.

– Izka chce do nas wpaść w ten weekend. – Bartosz przepuszcza mnie przodem i wchodzimy do ogrodu.

Skoro musi – krzywię się w duchu.

– Może zrobimy grilla? Pogoda jak złoto, trzeba korzystać.

– Jasne, czemu nie? – Godzę się na wszystko, bo wiem, że wizyty Izabeli i tak nie unikniemy. Prędzej czy później młodsza siostra męża zwali się nam na głowy.

Skoro postanowiła sobie, że dotelepie się na nasze zalesione odludzie, to znaczy, że na bank do nas dotrze.

Ciekawe, czego chce tym razem – zastanawiam się, wchodząc z mężem do domu.

Rozkładamy zakupy, kiedy dzwoni telefon Bartosza.

Mąż rozmawia tylko przez chwilę, ale już wiem, że będzie musiał wyjść.

– Wybacz, dzisiaj zjesz sama. – Całuje mnie w usta, w locie łapie opakowanie kabanosów i rusza w stronę drzwi. – Klient chce dogadać remont i rozplanować zakupy materiałów – dodaje.

– Nie możecie przez telefon? – dziwię się.

Liczyłam na wspólny posiłek, jestem zawiedziona i poirytowana.

– Wiesz, że czasem najlepiej spotkać się osobiście. To duże zlecenie, a koleś na moje oko jest jednym z tych, którzy lubią być obskakiwani. Zadzwoń do ciebie później, kotku – obiecuje Bartosz, zanim sięga po mineralną i znika mi z oczu.

* * *

Kiedy zostaję sama, rozpakowuję resztę zakupów i siadam przy kuchennym stole, na który chwilę później wskakuje nasza kotka Zakała.

Izabela rzadko nas odwiedza, jednak każda wizyta szwagierki dziwnie wytrąca mnie z równowagi. Podejrzewam, że siostra męża zazdrości nam tego domu, ustabilizowanego życia i spokoju. Sama ciągle się przeprowadza, nie ma niczego swojego

oprócz kilku ton butów i ciuchów, a facetów zmienia częściej niż majtki. Chociaż nie, ostatnio stworzyła coś na kształt stałego związku – półtora roku z jednym kolesiem to, jak na nią, niemal wieczność.

Stawiam wodę na kawę i na oścież otwieram okno. W powietrzu czuć już jesień, jednak słoneczny dzień skutecznie poprawia mi nastrój. W takie dni człowiek chce wierzyć, że wszystko będzie dobrze, a życie potrafi być piękne i beztrudne.

W takie dni duchy nie pokazują się żywym.

Wyjmuję z kredensu filiżankę i zalewam wrzątkiem zmielone przed momentem ziarno.

Kwadrans później siedzę przed laptopem, skupiona na tłumaczeniu. Lubię moją pracę. Wymaga uwagi i odcięcia się od bodźców zewnętrznych, sprawia, że całą sobą pogrążam się w fikcyjnym świecie stworzonym przez autora, którego słowa przenoszę z jego ojczystego języka na nasz. To miłe uczucie, kiedy współtworzy się opowiedzianą przez kogoś historię i podaje ją dalej. Nie ja stoję za misternie utkanymi wątkami fabularnymi, ale myśl, że dzięki mojemu tłumaczeniu tekst przeczytają również polscy czytelnicy, jest bardzo przyjemna. Tym razem pracuję nad przekładem trzeciej powieści kryminalnej poczytnego szwedzkiego autora, którego zdjęcia w sieci przyspieszają bicie mojego serca. Facet jest w moim typie i podobno

pozostaje singlem, co – mimo że szczerze kocham
mojego męża – mocno działa mi na wyobraźnię.
Uśmiecham się pod nosem i otwieram kolejny roz-
dział. Wieczorem zapoznałam się już z jego treścią
i wiem, że tym razem czeka mnie przetłumaczenie
naprawdę krwawej jatki. Sięgam po miskę z ner-
kowcami i zawieszam palce nad klawiaturą. Mor-
derstwo na przedmieściach Halmstad jest opisane
przez autora bardzo szczegółowo i dosadnie. Przez
dłuższą chwilę zastanawiam się nad pierwszym
zdaniem. Chcę, żeby unikatowy styl szwedzkiego
pisarza brzmiał równie obrazowo w polskim prze-
kładzie.

W głębi domu dzwoni telefon, ale postanawiam
go zignorować. Czuję, że jeśli się oderwę od pracy,
ciężko mi będzie do niej wrócić.

OPOWIEŚĆ O ZBRODNI I KARZE, MIŁOŚCI I NIENAWIŚCI.

Przed laty, w pięknym dworku nad jeziorem, doszło do niewyobrażalnej tragedii – ogarnięta psychozą poporodową młoda matka zamordowała dwójkę swoich dzieci.

Obecnie posiadłość należy do małżeństwa, które kupiło ją za bezcen. Wyremontowany przez parę dom prezentuje się zjawiskowo, ale czy pod dachem, pod którym wydarzyła się tak krwawa zbrodnia, można odnaleźć szczęście? Marta, nowa właścicielka dworku, nocami słyszy głosy zmarłych dzieci – płacz niemowlęcia i śmiech kilkuletniej dziewczynki.

Z czasem udaje jej się odzyskać równowagę emocjonalną, ale wtedy dzieje się coś, co rodzi kolejne problemy – do dworku wprowadza się siostra męża Marty, Izabela. Kobiety nigdy się nie dogadywały, a obecność szwagierki jest dla Marty wyjątkowo trudna. Za zamkniętymi drzwiami wybuchają kłótnie, szczęśliwe małżeństwo przechodzi pierwszy poważny kryzys, ale to dopiero początek koszmaru. Klątwa dworku uderza z niszczycielską siłą i po raz kolejny dochodzi tu do zbrodni. Kto jest katem, a kto ofiarą?

cena 49,90 zł

FILIA

Mroczna

ISBN 978-83-8402-431-7



9 788384 024317